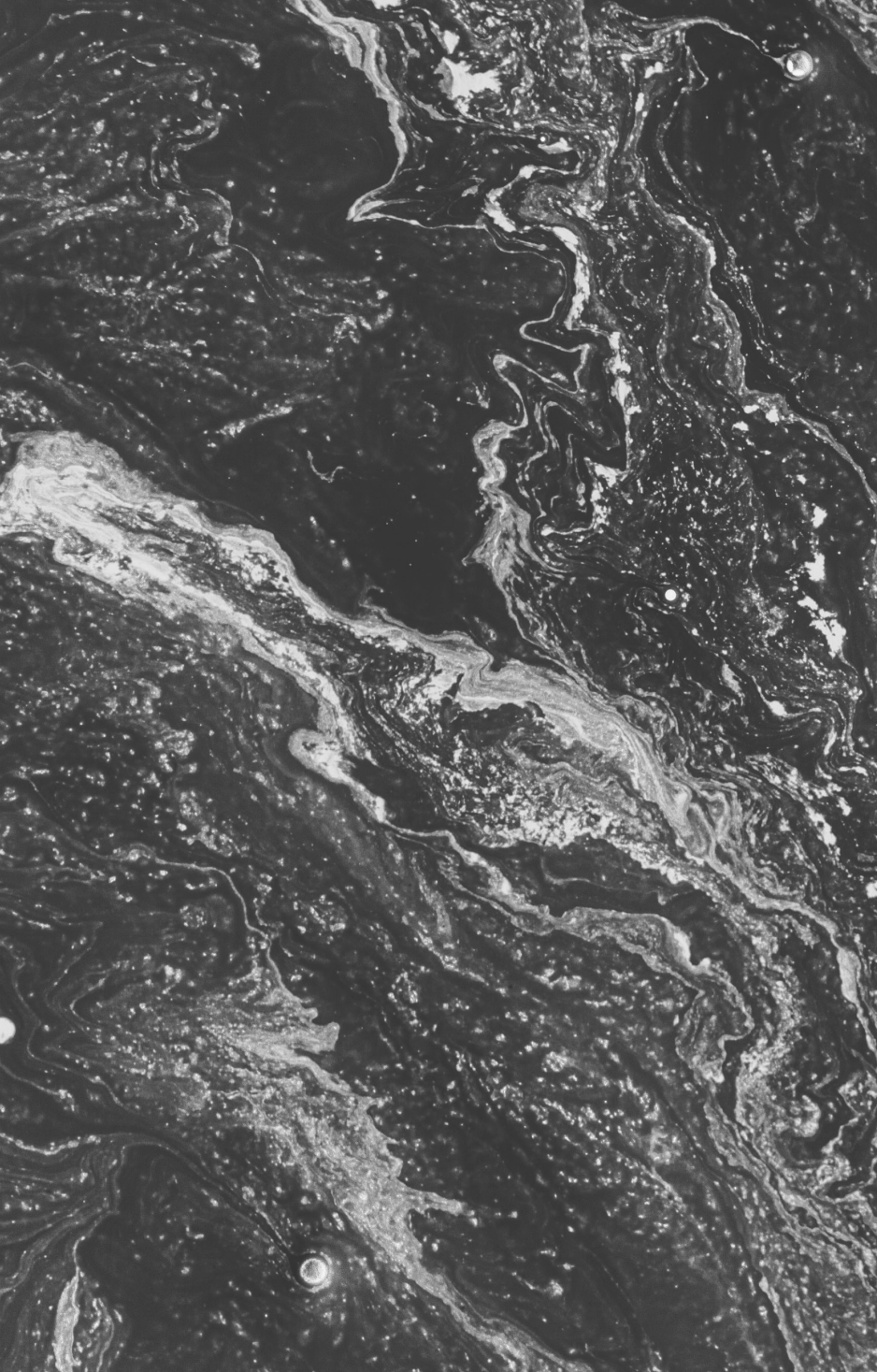


Tomasz Nowak OP
Marcin Jakimowicz

W ciemno
za światłem,
czyli jak
nie stracić
wiary



Bój się Boga

O dobrym strachu
i lękach, które da się
przezwyciężyć

- M: Czego boi się o. Tomasz Nowak OP?
- T: Przede wszystkim Boga. Nie jest to jednak obawa, że On zrobi mi coś złego czy mnie skrzywdzi. Boję się raczej, że nie zauważę Jego obecności, Jego darów, że nie wykorzystam Jego błogosławieństwa, łaski, że zaniedbam dobro, które od Niego dostałem. Wierzę, że Bóg mnie kocha i obdarowuje na różne sposoby bardziej niż ktokolwiek inny. Bardzo chciałbym to wszystko przyjmować i na to odpowiadać, a boję się, że przez moje różne słabości ta łaska i miłość rozmiękną się na drobne, że je zmarnuję.
- M: Co chwilę słyszymy: „Bój się Boga, bój się Boga”... Czym zatem jest bojaźń Boża, skoro nie ma nic wspólnego z lękiem?
- T: Bojaźń Boża jest pragnieniem odpowiedzenia na dobro i miłość, które są nam dane.
- M: A siebie samego boi się ojciec?
- T: Chyba nie. W każdym razie...
- M: ...wie ojciec, do czego jest zdolny?

- T: Tak. Myślę, że trochę mi się udało poznać siebie przez te wszystkie lata i potrafię się już nie przeceniać, ale też nie nie doceniać. Przyjmuję siebie takiego, jaki jestem. Bardziej ufam Bogu niż sobie i chyba dzięki temu udało mi się pozbyć lęku, że kogoś zawiodę.
- M: Chodzi o popularną śpiewkę: „Nie jestem dość dobry”? O to nastawienie, z którym człowiek patrzy w lustro i wzdycha: „Nie dam rady”?
- T: Kiedyś rzeczywiście zadręczałem się tym, że mógłbym lepiej grać na gitarze, lepiej pisać, mówić, liczyć. Teraz, koło pięćdziesiątki, znam się na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie muszę skakać przez poprzeczkę, którą sam sobie stawiałem, w dodatku za wysoko. Doskonale pamiętam lekcję, która mnie od tego przymusu uwolniła. Kiedyś pod presją poczucia, że zawodzę wszystkich dookoła, odbyłem rozmowę z bratem, którego nazywałem Tajemnica Powolności, niezwykle spokojnym człowiekiem. Zwierzyłem mu się z tego, co przeżywam, a on wysłuchał mnie uważnie i powiedział: „Zawodzis tylko tych, którzy się za dużo spodziewają, może przede wszystkim siebie”.
- M: Tyle że to, nie oszukujmy się, najboleńsze...

- T: Jakiś czas później rozmawiałem ze współbratem, który miał podobny problem. Sprezentowałem mu koszulkę właśnie z napisem: „Zawodzisz tylko tych, którzy się za dużo spodziewają”.
- M: Ciekawe, czy ją nosił... I tak nie byłoby widać pod habitem... A miewa ojciec bezsenne noce, podczas których głowę bombardują tysiące myśli, pytań bez odpowiedzi, lęków i ciemnych, ponurych scenariuszy?
- T: Nie, nie miewam. Nigdy nie miewałem. Może dlatego, że twardo śpię – zawsze mi mówili, że snem sprawiedliwego. Czy może raczej spałem; ostatnio budzę się czasem w nocy. Starość nie radość. Jeśli zdarzy mi się taka nieplanowana pobudka, wkładam habit, idę do kaplicy i odmawiam różaniec, a potem jeszcze w miarę możliwości czytam słowo. Kiedy tracę przytomność umysłu, wracam do łóżka. Od razu po przebudzeniu uderzam w modlitwę, nie zostawiam przestrzeni na rozkminy.
- M: Mógł ojciec spokojnie spać, wiedząc, że na drugi dzień będzie na waszych rekolekcjach dziesięć tysięcy ludzi w katowickim Spodku czy niemal dwa razy tyle w krakowskiej „Katedrze św. Taurona”?

- T: Mogłem, jakoś nie umiałem się tym przejąć. Może nie do końca do mnie docierało, że to się naprawdę dzieje.
- M: A w chwili, gdy jak gwiazdy rocka wychodziliście na scenę i oślepieni reflektorami widzieliście, że... nic nie widzicie?
- T: Przyznam, że to było niezwykle doświadczenie, bo jeszcze przed zakonem co roku jeździłem na Rawę Blues.
- M: Pewnie objaliśmy się o siebie w tłumie. Ja też co roku szalałem na Rawie...
- T: Mnie w ogóle nigdy nie przyszło do głowy, że mógłbym się znaleźć na tej scenie. Kiedy na nią trafiłem, uświadomiłem sobie, że ludzie, pośród których kiedyś stałem, teraz słuchają, jak głoszę, śpiewam czy się modłę...
- M: ...czy tańczę.
- T: Czy tańczę (*śmiech*). Teraz to jest nic, na festiwalach Rawa Blues potrafiłem tańczyć dwanaście godzin non stop.
- M: Na jakichś wspomagaczach czy na trzeźwo?

- T: Na trzeźwo.
- M: Pytam, bo pamiętam z Rawy Blues ten wszechobecny zapach trawy unoszący się nad spoconym tłumem.
- T: To nie ja! (*śmiech*) Ja nie paliłem. Tańczyłem na trzeźwo.
- M: Powiedział kiedyś ojciec, że istnieje ogromna różnica między troską a zamartwianiem się. Jak je rozróżnić?
- T: Pomógł mi w tym o. Wojtek Jędrzejewski. Moje lęki rzeczywiście przejawiają się w zamartwianiu się. Dopada mnie taka pokusa. Różnica polega na tym, że zamartwianie się to zajmowanie się rzeczami, na które się nie ma wpływu, a troska to myślenie o tym, na co się ma wpływ. Troska jest zdrowa, a zamartwianie się, jak sama nazwa wskazuje, jest stanięciem po stronie śmierci. To z kolei uświadomił mi o. Tomek Zamorski. Jak widać, w klasztorze czasem głosimy sobie nawzajem (*śmiech*). Właśnie Tomek mi powiedział, że zamartwianie się odbiera życie... Przez trzy miesiące czułem się przygnieciony, uchodziła ze mnie energia, a ja nie wiedziałem, co się dzieje. Wtedy jeden z braci powiedział: „Zamartwiasz się”. To moje ostatnie nawrócenie.
- M: Często ojciec krzyczy: „Nic cię nie obchodzi, że ginę?”?

- T: Nieczęsto. Ale zdarza mi się. Kiedyś myślałem, że tak nie wolno, że to zła modlitwa. Dziś widzę, że bardzo skuteczna. Co nie znaczy, że nie jest modlitwą niewiary. Ten krzyk bierze się przecież z nieufności.
- M: Człowiek krzyknie coś takiego, a potem, spłoszony, zakrywa dłonią usta: „Ojej, przeholowałem!”.
- T: Faktycznie tak czasem reagujemy, jednak od mistrzów duchowych nauczyłem się, że ten krzyk nie robi na Panu Bogu wrażenia. On potrafi energię, która nagle w nas wybucha, przekuć w dobro. O wiele gorszym zachowaniem jest unik, wycofanie się. Bóg lubi konfrontację, sam do niej wzywa. Jest niezwykle kreatywny. Dlatego, myślę, ma pretensje do człowieka, który zakopuje talenty i nie chce puścić ich w obieg – to nie jest Boża droga. Bóg mówi słowo i tym samym stwarza. Czegoś takiego oczekiwaliby od nas – abyśmy byli do Niego podobni w kreowaniu i pomnażaniu tego, co jest na świecie. I żebyśmy to robili razem z Nim, także wtedy, gdy prowadzi to do konfrontacji czy rodzi spór.
- M: Mówi: „Milcz!” i nawałnica się cofa.

T: Czasami to „Milcz!” musi wybrzmieć kilka razy. Aż przyjdzie wiara. Święty Tomasz z Akwinu pisał: „Jeśli nie masz wiary, wypowiadaj słowa, a serce pójdzie za nimi”. I to się sprawdza. Czasem krzyczę: „Milcz!” wiele razy, a wiara stopniowo przychodzi. Elizeusz pierwszy raz uderza płaszczem Eliasza i... nic się nie dzieje. Dopiero za którymś razem przychodzi wiara i staje się cud. Pamiętam historię z ks. Andrzejem Szpakiem. Nadciągał deszcz, a ludzie nie mieli kurtek, parasoli. Ksiądz Andrzej powiedział: „Tomek, módl się”, a ja na to: „Nie mam wiary”. Ale zacząłem się modlić: „Panie, nie mam wiary, ale Andrzej ma, i na podstawie jego wiary proszę, by deszcz odszedł”.

M: Padało?

T: Nie. Mimo że wokół straszyły czarne chmury... A wracając do troski i zamartwiania się – dobrze widać różnicę między nimi na przykładzie naszego stosunku do ukochanej osoby. Darzymy kogoś uczuciem, pragniemy dla niego dobra i albo dbamy o rzeczy, na które możemy wpłynąć – to jest troska – albo gryziemy się tym, co i tak od nas nie zależy, czyli się zamartwiamy. Bardzo ciekawie rozmawiałem o tym później z Panem Bogiem na modlitwie: dlaczego w ogóle diabeł kusi w taką stronę. Odpowiedź jest banalna: jak się zajmujesz

rzeczami, na które nie masz wpływu, nie skupiasz się na tym, na co masz wpływ. Nie budujesz królestwa Bożego, bo cała twoja energia trafia w próżnię.

M: Poza tym błądasz się po mglistej, nieznannej przyszłości, zaczynasz się martwić tym, co dopiero ma nastąpić, i zapominasz o tym, co jest tu i teraz.

T: Co roku w Wielki Czwartek zatrzymują mnie słowa konsekracji: „to jest dzisiaj”. W „dzisiaj” zawiera się istota chrześcijaństwa. To jest dzisiaj, teraz, *hodie*. Nie kiedyś i nie później. U Boga, który jest ponad czasem, jest wieczne „teraz”. Teraz jest chwila naszego zbawienia. Staram się nie martwić o to, co nadchodzi.

M: A o Kościół? Nie martwi się ojciec o Kościół?

T: Ostatnio staram się patrzeć na Pana Jezusa jeszcze uważniej i coraz częściej przypomina mi się – to tak à propos tych Tauronów i Spodków – pewna scena z Ewangelii. Jezus spojrział na tłumy i wzruszył się, bo były znękanе i porzucone jak owce bez pasterza (por. Mt 9,36). To mnie dotyka: stoję przed tysiącami jako kaznodzieja i cieszę się, że ludzie tak licznie przychodzą – bo to jest naprawdę powód do radości – ale równocześnie się zastanawiam, czy mam taki Jezusowy

wgląd w ich serca i potrzeby. Czy umiem, jak św. Dominik, który dużo płakał pod krzyżem, pytać: „Co będzie z grzesznikami?”. To jego wołanie jakoś się połączyło z Jezusowym „Pragnę” z krzyża. A jakie jest moje pragnienie? Czy nie daję się po ludzku zwieść, że takie tłumy przyszły? Czy nie ograniczam się do tej radości ze wspólnego spotkania, wspólnej modlitwy? Czy wzorem Jezusa i św. Dominika widzę znękanie, porzucenie, czy chcę tego dotykać, przywoływać to w obecności Bożej? W ten sposób chcę się modlić, prowadzić uwielbienie: żeby w miejscach dotkniętych złem ludzie mogli doświadczyć uzdrawiającej mocy Jezusa. To jest mi najbliższe. Trudno mi to nazwać zamartwianiem się; bliżej mi do Jezusowego wzruszenia czy nawet łez, którymi zapłakał nad Jerozolimą (Łk 19,41–44).

- M: Zerkam na portale i fora internetowe i zauważam ogromny paradoks. Furore w sieci robi profetyczna intuicja kard. Josepha Ratzingera o Kościele przyszłości – małym, uduchowionym, pokornym zaczynie. Tyle że gdy Pan Bóg zaczął tak formować swój Kościół, wiele osób podniosło lament: „Kryzys! Kryzys!”.
- T: Rzeczywiście paradoks... Jest też drugi – odwrotność tego, o czym mówisz: głosimy, jak umiemy, przychodzi

parę osób, jeśli jeszcze w kimś poruszymy delikatną strunę, już jesteśmy przeszczeniwi jako kapłani. A potem, jak Bóg daje łaskę i tłumy zaczynają się garnąć, trafiamy do ludzkich serc, nagle u wielu zaczyna się podejrzliwość.

M: Szczerze? Myślę, że to się bierze przede wszystkim z zawiści...

T: Być może. Ale też z takiego przeświadczenia, że „a nuż to nie jest Boże”.

M: Często słyszycie z o. Adamem Szustakiem: „Popisowa. Zwykły populizm. Robią to pod publiczność”?

T: Tak, oczywiście, że tak. Bardzo często.

M: I co? Jak ojciec reaguje?

T: Z jednej strony słyszymy pochwały i wyrazy podziwu, a z drugiej doświadczamy nieufności i podejrzliwości. Przyznam, że sam się z takimi sytuacjami zmagalem. To też specyfika polskiego wychowania: do wszystkiego, co się udaje, podchodzimy z nieufnością.

- M: Jak to mawiają polskie matki: „Śmieję się, śmieję, wieczorem będziesz płakał”. Jest w nas jakaś taka chorobliwa obawa, gdy jest dobrze. Boimy się, że jest „za dobrze”. Siedzimy na wakacjach, pijemy sobie piwo nad morzem, ale już kombinujemy: „To się zaraz skończy. Będzie twardy reset”. To nie jest biblijne myślenie?
- T: Absolutnie, o czym przekonałem się na własnej skórze. Dostałem lekcję w Krakowie przed Światowymi Dniami Młodzieży. Mieliśmy z Adamem prowadzić rekolekcje najpierw w kościele Mariackim, a potem na Rynku. To były nasze pierwsze wystąpienia przed tak dużą grupą wiernych. Adam był już wtedy dosyć rozpoznawalny. W normalnych okolicznościach przejście z klasztoru do kościoła zajmuje maksymalnie trzy minuty, a my tę odległość pokonaliśmy w kwadrans, bo ciągle ktoś Adama zaczepiał, żeby zrobić z nim selfie czy prosić o błogosławieństwo. Więc on błogosławił, modlił się, pozwalał robić te zdjęcia, a mnie szlag trafił, no bo ileż można iść. Po rekolekcjach pokonywaliśmy odwrotną drogę, z kościoła Mariackiego do naszej bazyliki. Po czterech dniach głoszenia też stałem się rozpoznawalny i sam szedłem z dziesięć minut.
- M: Po rekolekcjach w Spodku czy w Tauronie ustawiają się do was kolejki. Każdy ma jedynie chwilę, by wyrzucić

z siebie coś najważniejszego na świecie, problem na śmierć i życie, historię choroby, opowieść o ciemności, depresji, zawirowaniach. Ucieka ojciec od takich sytuacji?

- T: Miałem z tym ogromny problem. Pamiętam, że kiedy szedłem modlić się do Pana Jezusa przy relikwiach bł. Piotra Jerzego Frassatego, które przyjechały do nas na zakończenie rekolekcji, mówiłem: „Czemu Ty mi to robisz, ja nie chcę tak, żebym nie mógł normalnie przejść ulicą”. I wtedy usłyszałem w sercu głos: „Chcesz być taki jak Ja?”. Odpowiedziałem, że niczego bardziej nie pragnę, a On: „Ja tak miałem”. Wtedy sobie uświadomiłem, że Jezus też nie mógł spokojnie przejść, ale to nie spowodowało, że został gwiazdorem – został Zbawicielem. Jeśli tylko się nie dam od Niego w żaden sposób oddzielić, niech robi, jak uważa. To było dla mnie uzdrawiające, przełomowe, i dało mi dużo cierpliwości. Jeśli ktoś mnie zaczepi na ulicy, żeby podziękować czy poprosić o błogosławieństwo, zdjęcie czy cokolwiek, pokornie – na ile umiem – spełniam jego prośbę i idę dalej. Oczywiście badam w sercu, czy nie gwiazdorzę, bo to nie miałoby sensu.
- M: Zdarzały się „interwencje ostatniej szansy”, sytuacje, w których Bóg wkroczył w ostatnim momencie? W Ewangelii

czytamy: „Jezus wszedł do pewnego domu i chciał, by nikt o tym nie wiedział” (por. Mk 7,24). Ale dalej jest napisane: „Nie mógł jednak pozostać w ukryciu, wnet bowiem dowiedziała się o tym pewna kobieta”. Weszła i bez owijania w bawełnę rzuciła: „Nie wyjdę stąd, dopóki moja córeczka nie zostanie uwolniona”. Niezły tupet. Bezcelność. Często przeżywa ojciec podobne chwile? „Jestem zmęczony, dajcie mi wszyscy święty spokój”. Ojciec Nowak nie mógł jednak pozostać w ukryciu, wnet bowiem dowiedziała się o tym pewna kobieta...

- T: Muszę przyznać, że wiele razy tak było. Cieszę się, że mi to powiedziałaś, dziękuję.
- M: Ewangeliczna historia ma szczęśliwe zakończenie: córeczka kobiety została uwolniona. Jezus nie był jednak delikatny. To była trudna rozmowa. Przyrównał Syrofenicjankę do psów. Zmęczony o. Tomasz jest równie szorstki jak Mesjasz?
- T: Pamiętam kilka momentów, w których – jak to mówię – miałem język szybszy od głowy, ale widzę, że to jest działanie Ducha Świętego – sam z siebie nie odważyłbym się czegoś podobnego powiedzieć. Pewien muzyk, którego znałem z wielbienia, przyszedł do mnie kiedyś i powiedział, że szuka pracy i jakiegoś mieszkania.

Odparłem, sam się temu dziwiąc: „Jesteś trzy lata po ślubie, a gdzie dzieci?”. To przecież zupełnie nie w moim stylu! On na to: „Nie mam pracy, nie mam mieszkania, jak znajdę, postaramy się o dziecko”. A ja znów, co do mnie naprawdę zupełnie niepodobne: „No a po co mieszkanie i praca, jak nie ma dzieci?”. Obu nas zatkało i tak się rozstaliśmy. Miesiąc czy dwa później dostałem esemesa: „Ojczy, dowiedzieliśmy się, że jesteśmy w ciąży, tego samego dnia dostałem pracę i mieszkanie”. Takie sytuacje są większe ode mnie. To jest szorstkość z miłości, na którą sam nigdy bym się nie odważył, bo nie czuję się od innych mądrzejszy. Z doświadczenia jednak wiem, że kiedy ludzie przychodzą do spowiedzi, to nie po krytykę i reprimendę, a po umocnienie i wsparcie. I w ten właśnie sposób rozumiem działanie Jezusa, nawet jeśli bywa szorstki. On chce uwolnić człowieka do nowego życia: nie chodzi Mu o wytknięcie nam grzechów i błędów, tylko o uwolnienie nas od nas samych, od naszych własnych przekonań. Mam świadomość, że kiedy ludzie gromadzą się tłumnie w Spodku czy Tauron Arenie, nie przychodzą na spotkanie ze mną, tylko na modlitwę: chcą spotkać Boga.

- M: Wiele osób opowiadało mi, że o. Joachim Badeni miał właśnie taką taktykę: ludzie przychodzili do niego po poradę, a on chwycił ich za ręce i mówił: „Najpierw się

pomódlmy”. Co ciekawe, zapamiętali po latach przede wszystkim te krótkie modlitwy...

- T: A ja odwrotnie, modłę się na końcu. Najpierw słucham. Może trzeba wprowadzić nowe elementy: najpierw się pomodlić, a potem jeszcze raz się pomodlić?
- M: Według papieża Franciszka kapłani powinni pachnieć owcami. Tyle, że owce... nie pachną. Wystarczy pogadać z góralami z krwi i kości czy duszpasterzami z Podhala. „Owce przede wszystkim śmierdzą. I naturalny odruch jest taki, żeby nie podchodzić za blisko” – opowiadał mi urodzony pod Gorcami ks. Wojciech Węgrzyniak. „Pasło się w domu owce, więc zapach w pamięci został. To niezbyt przyjemne doświadczenie. Tylko czy chodzi o przyjemność, czy o dobro? Jak ktoś jest dobrym pasterzem, to choćby nie chciał, będzie pachniał owcami”. Dominikanin wychodzący do grzeszników wraca do klasztoru pobrudzony, umorusany, zbrukany?
- T: Szczerze? Mam odwrotne doświadczenie: spotkanie z owcami właśnie powoduje, że pachnę; sam śmierdziałem przed tym spotkaniem. Może każda z tych owiec też przed spotkaniem śmierdziała, ale „gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich” (Mt 18,20) – a jak jest Jezus, zaczynasz pachnieć.

Ty jesteś owcą i ten drugi jest owcą, a pasterz jest jeden. I On na pewno pachnie owcami. Tylko że Jezus – co budzi we mnie świętą zazdrość – nigdy nie traci kontaktu z Ojcem, choćby wchodził w nie wiem jakie układy z grzesznikami, nigdy się od Ojca nie oddala. I to jest moje pragnienie. Jezus sam – że tak przewrotnie zauważę – nie jest jednak wierny swojemu słowu, bo mówi: „Nie rzucajcie pereł przed świnie, żeby się nie odwróciły i was jeszcze nie poszarpały” (Mt 7,6). A przecież On tę najcenniejszą perłę, swoje życie, rzuca przed świnie i jest przez nie rozszarpany. Jednak nawet wtedy, kiedy się nad Nim pastwią, nie traci kontaktu z Ojcem.

- M: Jezus nie stworzył getta pod Jerozolimą, tylko powiedział: „Idźcie na cały świat”. Uczniowie potraktowali to serio i ruszyli w drogę. Co zrobić, by nie pójść za daleko? By nie zbratać się ze światem do tego stopnia, by się w nim zatracić? Jako dominikanin wychodzący na obrzeża często słyszycie taki zarzut...
- T: Uważam, że z Bogiem nie da się pójść za daleko. Bóg jest jedyną miarą: im bardziej będziesz Go kochał, tym bardziej będziesz się do Niego upodabniał, i ta obecność Boża w twoim życiu będzie coraz trwalsza. Zresztą chodzenie na krańce świata zawiera się w charyzmacie dominikańskim.